

Sześć mundurów Bernarda Akermana

Ten człowiek miał życie ciekawsze niż James Bond i kapitan Kloss. A przecież ich przygody są tylko zręczną fikcją, podczas gdy wszystko, co przeszedł ten człowiek, doświadczył na własnej skórze i ryzykował własnym, wcale nie fikcyjnym, jedynym życiem. Prawdą jest, że wcale swych przygód nie szukał. Był i pozostał człowiekiem zwykłym, zwyczajnym, mieszkającym w niewielkim mieście.

Siedzimy w autobusie. Co prawda autobus jest pusty, bo stoi na stacji obsługi i korzystamy tylko z tego, że stanowi dobre miejsce do spokojnej rozmowy. Palimy więc sporty i rozmawiamy. Zdaje się, zaraz zacznie padać deszcz. Po placu pośpiesznie przechodzą kierowcy, mechanicy, jacyś biuraliści.

Naprzeciw mnie siedzi w wyszmelcowanym roboczym ubraniu Bernard Akerman. Urodził się w czasie pierwszej wojny światowej, w roku 1915, dwadzieścia parę kilometrów stąd, w Łęgu, koło Czarnej Wody, niegdyś należącym do powiatu chojnickiego. Chodził do szkoły w Czarnej Wodzie. W roku 1937 poszedł pierwszy raz do wojska, jeszcze wtedy nie wiedział, że będzie miał wyjątkowe szczęście do mundurów i wojaczki. Trafił wspaniale do słynnego pułku szwoleżerów w Starogardzie Gdańskim, a tam do plutonu łączności. W październiku 1939 roku miał odejść do cywila. Ale miesiąc wcześniej właśnie się wszystko zaczęło. Zresztą, oni tu wcześniej nad granicą czuli tę zbliżającą się wojnę. Teraz wojenne drogi Akermana wiodą ze Starogardu przez Osie ku przeprawie pod niemieckim ostrzałem na Wiśle w Świeciu.

Jak na szwoleżera przystało przepływa Wisłę trzymając się końskiego ogona. Bierze udział w potyczkach pod Toruniem i Włocławkiem, znowu przeprawia się przez Bzurę w okolicach Sochaczewa. Już wówczas z jego pułku szwoleżerów niewiele pozostało. W okolicach Warszawy już jest sam. Błąkając się po Puszczy Kampinoskiej napotyka jakiś pułk artylerii, który przed wojną stacjonował

gdzieś w Poznańskim. Bez większego namysłu wstępuje do artylerii, ostatecznie nie święci garnki lepia.

Wraz z poznańskimi artylerzystami uczestniczy w bitwie pod Modlinem. Bierze jeszcze udział w obronie Warszawy i 22 września kończy kampanię wojenną 1939 roku w niemieckiej niewoli.

Wraz z trzema tysiącami jeńców maszeruje sto kilometrów z Warszawy do Żyrardowa. Tutaj wraz z innymi jeńcami, pod gołym niebem przez dwa tygodnie czeka rozstrzygnięcia swego losu. Zaczęły się chłody, zgromadzeni na stadionie ludzie marzną, są głodni, wielu jest chorych. Żołnierze radzili sobie jak mogli, większość kopła doły, aby przynajmniej ochronić się przed wiatrem.

Któregoś dnia na apelu kazano wystąpić wszystkim pochodzącym z Pomorza, obiecano im zwolnienie do domu.

Wielu wystąpiło. Wystąpił też Bernard Akerman.

Zapakowano ich w odrutowane wagony i pod eskortą SS-manów skierowano przez Ostrów Wielkopolski, Wrocław, Karlsruhe, Norymbergę do Kolonii. Dopiero w Kolonii otrzymali po raz pierwszy prowiant – po bochenku chleba i porcji końskiej kiełbasy. Po trzech dniach głodówki niemiecki wikt nikomu na zdrowie nie wyszedł. Wielu po tym posiłku dostało skurczów żołądka. Tych co upadli zabrano, dokąd? – nie wiadomo. Jedno jest pewne, żadnego z nich więcej już nikt nie oglądał. Konwencja genewska o jeńcach wojennych może być bardzo różnie przestrzegana, wszystko zależało od konkretnego dowódcy. SS-mani już w pierwszym roku wojny pokazywali do czego są zdolni. W wielu wypadkach, świadomie stwarzano warunki dziesiątkujące transportowanych jeńców. Niektóre transporty jeńców z Rumunii kierowane do Niemiec wykazywały – według relacji ocalałych – osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu procent śmiertelności. A przecież byli to na ogół młodzi, zdrowi ludzie. Nie słyszałem, aby kiedyś komuś z tego powodu uczyniono zarzut.

Tych, którzy się ostali po końskiej diecie, skierowano do wielkiej Messe Ausstelunghalle, hali gdzie odbywały się wystawy i targi. Tam właśnie mieścił się Stalag 6-J w Kolonii.

W pełni zimy ze stalagu w Kolonii wysłano pięćdziesięcioosobowe kommando do Offerat nad francuską granicę. Pracowali tam w lesie, na drogach, w pobliskich górach, gdzie łupali kamień. Do Offerat przyjechał z Poznania gauleiter Greiser, który jak się okazało objeżdżał obozy, gdzie pracowali jeńcy pochodzący z Pomorza. Widać już zmieniała się nieco niemiecka polityka wobec ludności polskich ziem zachodnich. Stało się tak dlatego, że prawdopodob-

nie planując dalsze rozszerzenie działań wojennych, potrzebowano żołnierza, planowano nie tylko pobór nowych roczników, ale i wcielenie do armii ludzi urodzonych na zaanektowanych ziemiach uznanych za rdzennie niemieckie.

W dniu przyjazdu Greisera kommando nie poszło do pracy. Zebrano wszystkich na uroczystym apelu przed kwaterami. Wśród jeńców wojennych byli też i robotnicy przymusowo wywiezieni na roboty do Niemiec.

– *Alle Kriegsgefangenes, austreten!* Wszyscy jeńcy wojenni, wystąp! – polecił gauleiter.

Kiedy ci, którzy wystąpili, uformowali się w szereg, zaczęto czytać nazwiska.

– Wysocki, Kaszubowski, Grabowski... Wstąp! – Ci na pewno nie nadawali się na przyszłych żołnierzy.

– Akerman... – Greiser podszedł do Bernarda Akermana.

– Skąd pochodzisz? – zapytał przez tłumacza, sam doskonale znał język polski, ale nie chciał się z tym w tej sytuacji afiszować.

– Z Czarnej Wody – odpowiedział Akerman.

– Schwarzwasser – poprawił Greiser – znasz tam Brambacha?

Brambach miał tartaki w Czarnej Wodzie, Chylonii, Gutowcu i zdaje się w Rytlu.

– Znam, pracowałem u niego jako robotnik.

– Dobrze, stań na boku.

W marcu 1941 roku Akerman znalazł się w domu, w Czarnej Wodzie. Mimo gauleiterowskiej interwencji i zwolnienia z niewoli niemieckiej, volkslisty nie podpisał, nie zrobiła też tego rodzina Akermanów.

Przeczytał w gazecie, że we młynie Hankego w Starej Pile potrzebny jest młynarz. Trzeba było z czegoś żyć, zgłosił się tam. Było to dobre miejsce, przez dwa lata z górą pracował tam przez nikogo nie nagabywany.

Aż przyszedł listopad 1943 roku, otrzymał wezwanie na komisję poborową do Chojnic. A więc przyszło to, przed czym miał nadzieję się uchronić. Niestety, Wehrmacht dopomniął się i o niego.

Oczywiście, przedtem jeszcze pozostawała do załatwienia pewna formalność – eindeutschowanie (przymusowe wpisywanie ludności polskiej na niemiecką listę narodowościową), czyli jak to się eufemistycznie tłumaczyło, powrót na łono narodu niemieckiego. Poinformowano go, że oczywiście może się nie zgodzić, ale wtedy trafi jako czynny wróg do Stutthofu lub Oświęcimia. Z trojga

złego: Auschwitz, Stutthof lub Wehrmacht, wybrał zło stosunkowo najmniejsze – Wehrmacht.

Wkrótce znalazł się w Czarnem na poligonie wojsk pancernych już ma się rozumieć przyodziany w niemiecki mundur. W lutym 1944 roku skierowany został do Szczecina do 212. batalionu Panzerjägerregiment, składającego się z lekkich czołgów. Oddział ten był przygotowywany do wysyłki na front wschodni, w ostatniej chwili jednakże coś się na górze, w sztabie, zmieniło i przez Bremę poszedł do Włoch.

Pierwszy postój wypadł w Megliore. Alianci zbombardowali most nad Adygą w Weronie i czołgi pozostały na platformach kolejowych przez bite dwa tygodnie zanim ruszono dalej, na Perugię, Orvieto, Viterbo aż do Amaseno, gdzie następowała wielka koncentracja sił niemieckich, pod dowództwem marszałka Kesselringa.

To był trzeci miesiąc służby Akermana w niemieckim mundurze. Chociaż przydzielony do broni pancernej, pełnił służbę w oddziale pomocniczym, był kierowcą ciężarowego opla wożącego amunicję. Ta tocząca się po włoskich drogach ruchoma beczka dynamitu, miała dwóch ludzi załogi: kierowcę siedzącego wewnątrz wozu i konwojenta a jednocześnie fliegerbeobachtera, obserwatora przeciwlotniczego, który przy karabinie maszynowym siedział na wierzchu tego karawanu.

Dnia 22 maja 1944 roku w okolicach Pico, Itri i Lenoliola zamykał się aliancki pierścień wokół zgrupowania piechoty niemieckiej. Na piechurów naciskały amerykańskie czołgi, a Niemcy nie dysponowali żadną bronią przeciwpancerną. W sztabie zapadła decyzja, aby trzema drogami dostarczyć zagrożonym oddziałom piechoty pancernicze, tak zwane panzerfausty. Jednym z samochodów, który miał do Itry dowieźć te pięści pancerne, był opel Akermana.

Zrozumiał, że jest to dla niego szansa. Teraz albo nigdy – powiedział sobie i zacisnąwszy zęby, słowa nie mówiąc fliegerbeobachterowi, ruszył do Itry. Kiedy zaczęły rzednąć niemieckie placówki, skręcił w bok, jak mniemał w najkrótszą drogę prowadzącą ku pozycjom alianckim.

Jakiś przydrożny niemiecki posterunek od razu zorientował się w czym rzecz. Sypnęły się strzały. Fliegerbeobachter, albo zeskoczył w biegu, albo został zastrzelony przez swoich, dość że po pewnym czasie Akerman stwierdził, że na skrzyni już nikogo nie ma. Sam Bernard wspominając tamtą ucieczkę kręci z niedowierzaniem głową.

– Jak mnie wtedy szlag nie trafił, trudno powiedzieć. Jechałem osiemdziesiątką na samych felgach, bo gumy mi Niemcy od razu

przestrzelili. Poza tym pancerfausty też mogły wybuchnąć i roznieść nie tylko mnie, ale i cały samochód. Zatrzymałem się dopiero, kiedy stwierdziłem, że jestem w neutralnej strefie, między dwoma liniami – aliancką i niemiecką.

Kiedy już nieco uspokojony wyskoczył z szoferki, bzyknęła kula, jedna, druga...

Jak się później okazało, strzelał francuski snajper – Murzyn ukryty gdzieś w skałach. Na tym odcinku bowiem walczyły pod francuskim dowództwem oddziały algierskie. Akerman skoczył do stojącej przy drodze cementowej budki dróżnika.

Nadchodził wieczór, a wraz z nim przenikliwy chłód. Owszem, miał Akerman w samochodzie koce i ciepły płaszcz, ale jak się tam dostać pod okiem francuskiego strzelca? Nie miał innego wyboru, tylko podkopem dostać się do ciężarówki. Zrobił ten podkop i zabrawszy płaszcz i koc, ciągle osłaniany przez samochód popęzł do najbliższych skał, gdzie znalazł pewniejsze schronienie.

I dobrze zrobił. Murzyn, co się także później okazało, miał nie tylko karabin z lunetą, ale i polową radiostację. Podał artylerii pozycję samochodu i budki. Wkrótce nadleciały pociski. Z drugiej strony odezwała się też niemiecka artyleria. Prawdopodobnie ich obserwator artyleryjski również widział samochód, więc i z tamtej strony postanowiono postrzelać sobie.

Plan, jaki powziął Akerman, był planem przetrwania. Nie zamierzał iść ku placówkom alianckim, bo mógł zostać zastrzelony zanim cokolwiek wytłumaczy, ale po prostu zaczekać aż przejdzie pierwsza linia atakujących.

Noc spędził w skałach nie zmrużywszy oka ani na chwilę. Rano zaczął wypatrywać zbliżających się żołnierzy francuskich. Oderwał naszywki a zamiast białej chorągiewki przyczepił do kija znaleziony dziecięcy fartuszek.

Drogą, skokami posuwał się jakiś oddział złożony z Algierczyków. O nich słyszał od Niemców nie najlepsze opinie, nie uśmiechało się mu trafić w ich ręce, mogli go po prostu, o nic nie pytając, zastrzelić. Pół godziny później zobaczył ze swojej kryjówki patrol, także złożony z Algierczyków, ale dowodzony przez białego oficera. Podniósł kij z białym fartuszkiem.

Oficer krzyknął coś po francusku, Akerman podniósł ręce i powstał. Oficer pytał go o coś, niestety dalej się nie rozumieli. Akerman zrozpaczony krzyknął wówczas:

– Polak jestem, do cholery!...

To także nie poskutkowało. Francuz po prostu nie rozumiał, na szczęście jednak dopuszczał możliwość dalszej konwersacji. Dopiero po chwili bezskutecznych prób porozumienia się po polsku i po francusku przekonali się, że jedyną możliwością jakiegoś dogadania się jest niemiecki. Francuz pochodził z Lotaryngii i coś tam po niemiecku rozumiał. A przynajmniej domyślił się, że ma oto przed sobą Polaka. Zostawił go pod eskortą trzech żołnierzy i ruszył do kogoś, kto – podobno – znakomicie się z nim będzie mógł dogadać.

Po chwili przyprowadzono francuskiego czołgistę, jak się okazało Polaka, Stanisława Stachowicza, dowódcę jednego z shermanów. Teraz już wszystko poszło jak z płatka. Już po wstępnym przebadaniu Akermanowi zaproponowano albo jeniecki obóz we Włoszech, albo funkcję ładowniczego w czołgu Stachowicza. Decyzje wtedy zapadały szybko. Akerman, który mógł spokojnie doczekać końca wojny w obozie jenieckim, który wprawdzie pensjonatem nie był, ale też i życiu w nim nic nie zagrażało, wybrał propozycję rodaka Stachowicza.

Natychmiast posłano po francuski mundur. Zaledwie nałożył na siebie wszystko, co mu nowa ojczyzna Francja, jako swemu obrońcy dała, przyszedł rozkaz ze sztabu, aby stawił się u generała Juana.

W kwaterze generała siedział już pułkownik Buron, tłumacz, porucznik Lacasse, a w sąsiednim pomieszczeniu radiotelegrafista.

– Skąd pan jechał?

– Z Amaseno.

– Co tam jest?

– Dużo Niemców.

– Wiemy, ale jakie siły? Piechota, artyleria?

– Broń pancerna, zgrupowanie chyba Kesselringa.

– Może pan na mapie wskazać składy amunicji i paliwa?

– Oczywiście.

– Proszę.

W tym samym jeszcze dniu, rozkazem generała został zawrócony klucz francuskich bombowców, który leciał na tyły frontu bombardować jakieś transporty kolejowe. Zaatakowały one niemieckie zgrupowanie w Amaseno, niszcząc szczęśliwie składy paliwa i amunicji.

Akermana rzeczywiście przydzielono do shermana Stachowicza. Ojciec Stachowicza przed laty opuścił Polskę, aby osiedlić się jako emigrant w Saint-Étienne. Bernard Akerman dojechał jego shermanem do samego Neapolu.

W La Cotte, na wzgórzu 617., pojawił się niemiecki patrol pancerny złożony z czterech panter, zapytano czy chcą iść przeciwko nim

na ochotnika. Zgłosili się, Stachowicz pono najlepszy strzelec w armii francuskiej i Akerman, podówczas już kierowca czołgu. Przeciwno panterom ruszyły trzy shermany. Akerman ustawił swój wóz między skarpami drogi, na zakręcie tak, że widać mu było tylko wieżyczkę i lufę armaty, a jednocześnie miał szeroki wgląd na podnóże wzgórza.

Trzy pantery wysforowały się naprzód, czwarta ustawiona za domem, pokazywała Francuzom, podobnie jak sherman Stachowicza, tylko działo.

– Stachu, wal w tę trzecią! – krzyknął po polsku Akerman. Odpaliło działo. Czołg stanął w płomieniach. Wyskoczyła niemiecka załoga.

– Odłamkowym! – zakomenderował Stachowicz.

Strzelały też i inne wozy. Szybkostrzelne armaty shermanów w ciągu dziesięciu minut zrobiły porządek z panterami, tymi trzema na przedzie. Pozostała jeszcze półukryta czwarta. Wzięto ją na cel. Zagłady tego ostatniego czołgu nie widzieli, stał przecież za domem. Zobaczyli tylko jak po wybuchu, nagle jakoś tak bezwładnie opadła lufa jego działa.

Okazało się później, że czołg miał tylko uszkodzoną wieżę, Akerman przyprowadził do pułku tę panterę.

W Neapolu wezwał Akermana pułkownik Buron.

– Akerman, dobrze walczyłeś, jesteś Polakiem, jest tutaj polskie wojsko, czy nie chcesz do niego przejść?

– Po to tutaj przyszedłem, panie pułkowniku.

Dostał zalakowaną kopertę z dokumentami i rozkaz wyjazdu do Neapolu. Tam zamienił mundur francuski na polski. Został skierowany do trzeciego zmechanizowanego pułku ułanów śląskich, stacjonującego w San Basilio.

Z tym pułkiem przebył szmat świata. W Aleksandrii dowiedział się, że wolny jest już Lublin, że powstał tam nowy rząd polski, że dzień po dniu wyzwalane są inne miasta. Ciągnęło go do Polski, ale w sztabie nikt o tym nie chciał nawet słyszeć. Zrobił więc coś nie mieszczącego się w głowie. Wojskowym władzom francuskim zgłosił chęć przejścia z powrotem do armii francuskiej. Nie wiadomo na podstawie jakiej rachuby uważał, że w ten sposób prędzej wydostanie się z wojska i wróci do Polski. To był błąd.

Francuzi przyjęli go z powrotem bardzo chętnie, owszem, ale ani się im śniło pomagać mu w powrocie do kraju. Przeciwnie, skierowali go do Legii Cudzoziemskiej, wkrótce miał być z innymi ochotnikami odesłany do Algieru. Niepięknie rysowała się przyszłość na obczyźnie i pod obcą komendą.

Z lewymi dokumentami, jakimś cudem wykombinowanymi, przysnął więc na Malcie, stamtąd drogą morską do Marsylii. Wkrótce przechadzał się po Polach Elizejskich w Paryżu, gdzie drapnęła go polska żandarmeria polowa. Trzeba mieć szczęście, żeby w takich okolicznościach trafić na rodaków. Z największym trudem wyłgał się po francusku. Zrzucił mundur i parę tygodni przedzierał się na wschód. Trzy miesiące ukrywał się w Alzacji, wykorzystując Bóg jeden wie jakie możliwości. Wreszcie skok do Niemiec. Tu, czując się poza zasięgiem francuskich władz, zgłosił się do amerykańskiej misji wojskowej. Zrobił to, bo dowiedział się, że misja ta zbierała rozproszonych Polaków i kierowała ich do kraju.

Wiosną 1946 roku wylądował na granicy polsko-niemieckiej w Międzyzlesiu. Wkrótce był w domu. A tu znów niespodzianka i to ze strony wojska. Jego rocznik podlegał ciągle poborowi. Po paru tygodniach, po raz szósty zakłada mundur, po raz trzeci polski, a wkrótce bierze udział w walkach. Tak, jest rok 1946, jego jednostka uczestniczy w tak zwanym likwidowaniu band. Gorzki epilog wojny – bratobójcze walki...

Na szczęście nie trwa to długo. Wkrótce zostaje zdemobilizowany. Cały i zdrow wraca do swojej Czarnej Wody. Szósty raz rozstał się z mundurem, aby wreszcie stać się normalnym człowiekiem i niedługo później, ojcem rodziny. Rozpoczął też pracę w stacji obsługi samochodów PKS w Starogardzie Gdańskim.

Kryminał i powrót na szyję

Tadeusz Ody zgadza się na rozmowę, ale... O tym „ale” może później, na końcu.

Słyszałem o jego wojennych przygodach, nawet przy pomocy kogoś z rodziny zabiegałem o rozmowę, kiedy wreszcie do niej doszło, od razu zastrzeżenie, coś w rodzaju kagańca. Cóż, dość miał trudności, teraz nie chciałby sam sobie rzucać kłód po nogi. Kiedyś zmieniając pracę zapoznał się z opinią, jaką mu wystawiono: „były wermachtowiec”. Tylko tyle, a przecież to na zawsze nadaje piętno – znaczy tyle co „element niepewny”, bo może go gdzieś tam, w głębi duszy, ciągnie do Niemiec, do Bundeswehry, do szpiegostwa? I to jest chyba kwintesencja dramatu człowieka, który nie tylko wzrastał

w atmosferze polskości, ale także ani przez chwilę nie czuł się przynależnym do innej niż polska narodowości.

Opowiada:

– Rodzina moja mieszkała w Czersku. Ojciec był lekarzem. Już nie żyje dzisiaj, był znanym działaczem polskim na tym terenie.

Ze wspomnieniem ojca wiąże się incydent z roku 1919 jaki opowiadano w rodzinie. Zginął bowiem na jeszcze nieokrzeplą, jeszcze gorącej granicy polsko-niemieckiej, oficer niemiecki. Grenztzchutz więc wziął w Czersku zakładników, aby zmusić do wydania nieznanego zabójcy. Był wśród zakładników ojciec, wiadomo: wybierano ludzi, o których wiadomo było, że są czynnymi działaczami na rzecz polskości tych ziem.

Czyn ten oburzył wszystkich, niemal samorzutnie z okolicznych mieszkańców utworzył się blisko sześćset chłopów liczący oddział i zagroził odbiciem zakładników.

Tadeusz urodził się w roku 1925 w Czersku w powiecie Chojnice, trzy kilometry od granicy. Do gimnazjum chodził w Chojnicach. Do samej wojny pozostał mu szkolny mundurek i granatowa czapka uczniowska z tym charakterystycznym, dzisiaj już zapomnianym, znaczkiem z otwartą książką i kagankiem oświaty. Tę czapkę zresztą, już kiedy weszli Niemcy, kiedy chłopcy biegali oglądać na rynku w Czersku niemiecką orkiestrę wojskową, zdarł mu z głowy i podeptał buciorami synalek jednego z miejscowych Niemców, a nawet właściwie pół-Niemców.

Już w pierwszym dniu wojny w Czersku padły pierwsze strzały, byli pierwsi zabici z miejscowego batalionu obrony narodowej. Jeszcze wtedy nie wiedział, że i ich rodzina wpisze swoją pierwszą ofiarę na listę strat 1939 roku. Dowiedział się znacznie później, że siostra Wanda, która ochotniczo zgłosiła się na apel prezydenta Starzyńskiego jako sanitariuszka, zginęła w obronie Warszawy.

Ukryty strzelec skosił ją serią, gdy mocowała flagę Czerwonego Krzyża na budynku punktu opatrunkowego. Pociski trafiły ją w pierś i w głowę. Otrzymała pośmiertnie odznaczenie za obronę Warszawy. Spoczywa na powązkowskim cmentarzu wojskowym.

– W pierwszych dniach września 1939 roku, my, gimnazjaliści, zaczęliśmy w Czersku i okolicach zbierać porzuconą broń i sprzęt. Później, kiedy śmiercią groziło posiadanie jakichkolwiek przedmiotów wojskowych, zakopaliśmy swoje trofea w lesie. Chyba wtedy przestaliśmy myśleć o strzelaniu, za to zajęliśmy się małą dywersją, ot taką na gimnazjalną skalę. Wieczorami zaczęto uczyć w szkołach języka

niemieckiego na przyspieszonych kursach. W miasteczku było oświetlenie gazowe. Niszczylimy palniki w lampach gazowych oświetlających klasy szkolne. W wielu salach wtedy nie mogły odbywać się niemieckie lekcje. Zrobił się szum, wszczęto policyjne dochodzenie. Wreszcie też dowieziono taką ilość palników do lamp gazowych, że dalsza tego rodzaju działalność nie miała sensu. Wszystko to, jak widać, było bardzo smarkate, ale co myśmy wtedy mieli – po czternaście lat. Faktem było natomiast to, że założyliśmy swoje Wojsko Polskie...

Jeszcze do roku 1943 nie została uregulowana sprawa niemieckiego obywatelstwa. No, już wtedy, mniej więcej było wiadomo, że albo przyjmie się takie obywatelstwo, albo wysiedlenie nie wiadomo dokąd, najprawdopodobniej obóz koncentracyjny. Druga starsza siostra, Halina, już wtedy została wywieziona na roboty do Niemiec, brat Bogdan pracował w banku.

W maju 1943 roku Tadeusz Ody otrzymał wezwanie na komisję poborową. Miał wówczas niespełna osiemnaście lat.

– Zostałem wcielony do Wehrmachtu, mimo że nadal jeszcze nie była uregulowana sprawa mojego obywatelstwa. Nie miałem, na przykład, żadnego dowodu osobistego. Stałem przed komisją poborową w Starogardzie, a stamtąd przewieziono nas pociągiem, już jako wojskowych do Fenemor w górach Hartzu.

Co ciekawe, na komisji w Starogardzie, w transporcie i nawet początkowo w Fenemor, wszystkie rozmowy, polecenia, informacje, rozkazy wydawano w języku polskim. Ody miał dobre, gimnazjalne podstawy niemieckiego, inni też dość dobrze znali ten język, ale nikt się nie kwapił z ujawnianiem tego.

Ze Starogardu transport szedł przez rodzinny Czersk, zaśpiewali wtedy „Wojenko, wojenko cóżeś ty za pani?...” Podobnie było w Chojnicach. Zresztą, do końca podróży śpiewano w transporcie polskie piosenki wojskowe i strzeleckie. Oficerowie byli bezsilni. Nikt nie interweniował. Może i sami Niemcy zdawali sobie sprawę z dramatu, jaki się na ich oczach dokonywał.

Wspominano pierwszą wojnę światową, kiedy to setki tysięcy Polaków walczyło po obydwu stronach frontu w mundurach swych najeźdźców. Dzisiaj uwięzieni w mundurze wroga jechali w nieznaną nikomu przyszłość.

W Fenemor krótkie rekruckie przeszkolenie, nauka niemieckich komend i przysięga, której rotę i sensu wielu w ogóle nie rozumiało. W okolicy było trochę Polaków wywiezionych tu na roboty, przede wszystkim ze Śląska. To pierwsze spotkania z rodakami na obczyż-